Nr. 10. Niedziela dnia 19. Maja 1878. Rok X.

Wychodzi jako dodatek do *Gazety Narodowej*, Numer kosztuje 2 centy.

Tygodnik Niedzielny

Pismo ludowe.

Prenumerata kwartalna 20 cent z przes. pocz. 35 ct, którą dodaje się do prenumeraty na *Gazetę Narodową*.

Z pamiętnika przyjaciela.

(Ciąg dalszy.)

Gazety wydrukowały ten czyn natychmiast z wielkiemi pochwalami. Urząd w imieniu pogorzelców piękne przysłał mu aż do Hordyc podziękowanie. Sąsiedzi zdziwieni tym postępkiem, ilekroć zdybali się z panem Hordyckim, przypominali mu tę wspaniałomyślną dobroczynność. Pochlebiało to mu bardzo. Od chwili wystąpienia z wojska, nie miał on już żadnej próżności. Tam nęciły go szewrony, nadzieja awansu łechtała, dzień w którym został kapitanem uważał za najszczęśliwszy w życiu swojem. Lecz później wszystka ambicja w nim śród robienia majątku wymarła. Teraz dopiero zaczęło się w nim coś jak próżność budzić, która i jego skąpstwo przemódz obecnie mogła. Majątek bowiem swój uważał on jako przepadły; co rozdaruje to wyratowane.

Tym sposobem za pierwszym tysiącem szedł drugi i trzeci i czwarty. Skoro już ludzie o jednym darze na cel dobroczynny mówić przestali, on przypominał się innym.

Z razu żona jego tę nagle przebudzoną dobroczynność mężowską przyjęła z niedowierzaniem; potem ucieszyła się nawet, że jakiś duch nowy w ten zgrzybiały umysł wstępuje, spostrzegła się w końcu ku czemu mąż dąży, że tu chodzi o rozdarowanie tego wszystkiego co ma, by po śmierci nic się jej nie dostało.

Od chwili tego spostrzeżenia, poczęła pani Hordycka częściej wychodzić z swej kryjówki. Dotąd bardzo mało na własne potrzeby brała od męża. Widząc teraz jak pełnemi garściami rozrzuca na wszystkie strony, poczęła co chwila wymagać pieniędzy na opędzenie rozmaitych potrzeb swej toalety. A nawet istotnie stroić się poczęła, sprowadzała zewsząd kapelusze, materje, koronki, a po zapłatę odsełała do męża, myśląc, że go tem wstrzyma od rozrzutności, że widząc coraz więcej wzmagające się potrzeby domu, pohamuje się w swej dobroczynności, połączonej z ostentacją. A gdy po śmierci siostry, wdowy, pozostała córka kilkoletnia, sierota, pani Hordycka, nie pytając nawet męża, przywiozła ją do siebie i sprowadziła guwernantkę dobrze płatną.

Postępek ten jeszcze więcej rozgniewał pana Hordyckiego, Już i w tej siostrzenicy żoninej widział swą przyszłą sukcesorkę, która używać będzie jego majątku; żal mu było, prawie każdej łyżki strawy, którą ona z guwernantką spożywała, żal mu było, że sam nie ma krewnych, którzyby mogli mu pomódz do wydziedziczenia żony. Począł się nawet dopytywać, co się z jego dalekimi kuzynami stało, a idąc po nitce do kłębka, doszedł nareszcie, że jakiś stryjeczno-wujeczny wnuk jego mieszka we Lwowie i praktykuje przy jakimś urzędzie, czy przy adwokacie. Nie miał więc nic pilniejszego, jak przy pierwszej sposobności pojechać do Lwowa, odszukać go i zabrać z sobą na wieś.

Tym sposobem dwór Hordycki ożywił się trochę więcej, przybyło dwie osób młodych i trzecia guwernantka, i już odtąd wojna w Hordycach toczyła się nietylko pojedynkiem, sam na sam, lecz walczący mieli i sekundantów, którzy często stawali w pierwszej linii, podczas gdy starsi w drugim lub trzecim szeregu trzymali się w rezerwie.

Pan Chryzostom, kuzyn kapitana, przyszedłszy niespodzianie do tak bogatego krewnego, mocno zabolał, dowiedziawszy się o intercyzie ślubnej; lecz przebiegły z natury, prędko się umiał zastosować do okoliczności. Postanowił on korzystać, co można i jak można, dopokąd pan Hordycki jeszcze żyje; a widząc go rozrzucającego pieniądze, przemyśliwał, jakimby to sposobem tę rozrzutność wyzyskać najlepiej można.

Pan Chryzostom był przystojny mężczyzna; lat nie liczył więcej jak trzydzieści; włosy czarne, bródkę napoleońską, utrzymywał bardzo starannie. Nosił okulary, lecz nie dla słabego wzroku. Gdy bowiem czytał lub pisał, odkładał je zwykle na bok. Okularami zasłaniał jedynie wyraz chytry, i podstępny, jaki mu bił z oczu. Twarz zdołał ułożyć w przyjemną i bardzo poczciwą fizjognomję, ale oczu ustatkować nie mógł. Kto mu raz w nie spojrzał, czuł się od niego odtrąconym na zawsze. Chód jego był cichy, przytem dosyć niepewny i niejednostajny. Niewiedzieć czy z powodu życia zanadto wesołego, czy z przyzwyczajenia się do cichego stąpania, kolana jego uginały się zawsze, i to czy szedł czy stanął. Gdy miał okulary na oczach nadawało mu to wszystko postawę i wyraz człowieka łagodnego i dobrodusznego; lecz gdy zdjął okulary i zaświeciły się jego szatańsko-zyzowate, chytre oczy, wyglądał jak kot, który się zbliża cicho do miejsca, gdzie się przyczaić ma na swą zdobycz.

Przytem wielkie wyobrażenie miał o swym rozumie, dowcipie, a nawet o swej piękności. Kto go chwalił, ten go mógł wodzić na pasku. Nawet chytrość jego wrodzona ustępowała w głąb, skoro próżność jego łechtano. Lecz biada temu, kto tę próżność jego podrażnił, lub nawet boleśnie zranił — pan Chryzostom gotów mu był to pamiętać całe życie, i z żelazną wytrwałością nienawidzieć i prześladować go długie lata.

Raz, zaraz po przybyciu jego do Hordyc, dwunastoletnia panna Aniela, siostrzenica pani Hordyckiej, widząc jakąś karteczkę, pisaną przez pana Chryzostoma, niebacznie wyrzekła zwyczajnie jak dziecko:

— Ach proszę cioci, jakże brzydkie i niewyraźne pismo ma pan Chryzostom.

Byłaby pewnie osłupiała z przerażenia, gdyby była mogła spojrzeć pod okulary w oczy panu Chryzostomowi, w chwili gdy usłyszał z ust jej te słowa. Odtąd gdzie tylko mógł to jej dokuczał; sam zaś w swoim pokoju po całych godzinach formował sobie pismo, aby módz jaknajprędzej kłamstwo zadać pannie Anieli i zawstydzić ją. I istotnie doprowadził wkrótce do tego stopnia, że pisał tak pięknie, jak najbieglejszy kaligraf. Innym razem guwernantka Anielci, światła i poczciwa osoba, widząc jak pan Chryzostom po całych dniach nic nie robi, zapytała, czy nie przykrzy mu się czas, i czemu nie czyta jakich książek, przyczem ofiarowała mu się z swoją biblioteczką.

Pan Chryzostom wziął to za przymówkę a nawet za urąganie, odparł, że ma sam, a nawet dość liczną biblioteczkę we Lwowie, nie potrzebuje więc jej ofiary. I wkrótce

pojechał do Lwowa, skupił tam po antykwarzach setki ksiąg starych i niepotrzebnych, i w kilku pakach przywiózł do Hordyc, gdzie je poustawiał wedle grubości i formatu w szafkach, które umyślnie porobić kazał.

— Co też ty będziesz Chryzostomie robił z temi książkami na co się to wszystko przydało?... — spytał go raz pan Hordycki przy obiedzie.

— Zbieram, stryjaszku — odpowiedział — i czytam.

— A gdy przeczytasz, to na co ci się przydadzą te książki? — pytał dalej pan Hordycki, który nie zajmując się nigdy książkami, nie pojmował ich istotnej wartości.

— Innym będę mógł wypożyczać, którzy się zechcą czegoś nauczyć.

— Ciekawym, kto tu u ciebie książki pożyczać będzie, czy nie chłopi Hordyccy?...

— A gdy dużo zbiorę, to zapiszę na zakład publiczny, na publiczną bibliotekę — zafanfaronował pan Chryzostom — daruję naprzykład jakiejś szkole publicznej, z kąd i młodzież będzie miała pożytek i imię moje z wdzięcznością powtarzać będzie przez długie czasy.

Tu począł wyliczać rozmaite biblioteki publiczne, założone przez prywatnych, a osobliwie Zakład narodowy Ossolińskich, który imię fundatora swego rozsławi na przyszłe wieki.

Pan Hordycki słuchał go z uwagą, a potem począł go wypytywać troskliwie, gdzie i jakim sposobem on tę bibliotekę nabył i po czemu płacił dzieła tom na tom w przecięciu.

Odtąd staruszkowi myśl zebrania biblioteki i darowania jej za życia na zakład publiczny, zagnieździła się ćwiokiem w głowie. Dobroczynne uczynki, które dotąd pełnił, już mu się przykrzyć poczynały, pochwały w dziennikach i pisemne podziękowania już traciły dla niego ważność pierwotną. Zresztą wielkie tłumy ubogich garnęły się na wieść o jego dobroczynności do Hordyc, lub zastępywały mu drogę, gdy gdzie wyjechał. Niemającego wrodzonej dobroci serca, raziło to żebranie i narzucanie się, często bezczelne. Skąpemu z natury, żal było nieraz grosza, marnie potem, jak sobie wyobrażał, przez ubóstwo puszczonego. Zaledwie więc dni kilka minęło, aż jednego poranku odwiedził pana Chryzostoma w jego pokoju. Było to po raz pierwszy od czasu jego przyjazdu do Hordyc. Wizytę swoją rozpoczął od przyglądania się pięknie ustawionym książkom. Folianty stały u dołu, a w coraz wyższych pułkach, coraz mniejszych formatów książki. Na samym zaś wierzchołku, umieszczone były same dwónastówki.

— Nie zgadniesz Chryzostomie, co mię do ciebie sprowadza. Ważny, bardzo ważny interes.

— Słucham, kochanego stryja, jestem na rozkazy.

— Oto chciałbym się dowiedzieć, co twoja biblioteka warta?

— Nie wiele jeszcze, kochany stryju, bo nie mam środków skupywania książek, ile mi się nadarzy — mniej więcej do 500 reńskich.

— 500 reńskich! mówisz. Oto masz pieniądze, odparł pan Hordycki, wyjmując pugilares. Tę bibliotekę mnie odstąpić musisz. Ty sobie nową zbierzesz.

Pokornie poddał się pan Chryzostom woli szanownego stryja, schował pieniądze i tegoż jeszcze dnia wszystkie książki przeniesiono do wielkiej sali, którą pan Hordycki wyprzątnąć i odtąd biblioteką nazywać kazał.

Pierwszą rzeczą było urządzić szafy w około. Sprowadzono stolarzy, i w kilka tygodni ubrano wszystkie ściany w szafy ogromne, sięgające od podłogi do sufitu. Kupione od pana Chryzostoma książki mieściły się zaledwie na jednej półce i prawie nieznać ich było w obszernej bardzo sali. Gdyby sto razy więcej książek sprowadził, jeszczeby nie zapełnił wszystkich półek.

(C. d. n.)

Jak to u nas bywało za dawnych polskich czasów.

(Ciąg dalszy).

Ci tedy niemieccy Panowie zaczęli swoje nowe gospodarstwo od tego, że najprzód oficyalistów Polaków, ekonomów, pisarzy, podstarościch, karbowych, leśniczych, gajowych, tudzież innych dworskich ludzi, jako: gorzelnianych, mielcarzy, a nawet ratajów i fornali wszystkich Polaków poodpędzali i na to miejsce Niemców, Bóg wie jedyny, zkąd posprowadzali. Kmieciom i pośledникom odebrali role, zostawiając im tylko po kilka zagonów. Na rolach odebranych pozakładali nowe folwarki, albo je też oddali Niemcom z Brandeburów przybyłym. Gdybyście byli widzieli, co się ówczas działo w naszej Wielkopolsce. Przychodzili obcy z daleka i dostawali wszystkiego obficie, a nasi tak szlachta jak i chłopi zaczęli cierpień biedę. Niejeden kmieć zamożny opuszczał zagrodę, w której jego pradziadowie gospodarowali. Walili się hurmem z krajów dalekich obcy przybysze w podartych szatach, wygłodniali, a po kilku latach anibyś ich nie poznał. Wtedy to powstały te Neudorfy, Heinrichshofy, Hajny i inne podobne cudzoziemskie nazwy, — a na miejscu, gdzie wasi przodkowie złotą przenicę siali, zaczęli ci nowi przybysze sadzić tabakę i inne zielsko. Poddaństwo, które przez Kościuszkę było zniesione, znowu przywrócili, z tą tylko różnicą, że niby zakazali karać plagami gospodarza, robiącego zaciąg. Ale cóż ten biedak na tem zyskał! Gdy albowiem co przeskrobał amtmanowi, — ten posyłał do najbliższego Krygsrata albo do sądu patrymonialnego skargę. Niebawem przybywał jaki niemiecki urzędnik na miejsce z exekutorem, — którzy zwoławszy do dworu owego oskarżonego, najprzód spisali z nim sąznisty, Bóg wie jaki, bo się często rozmówić nie mogli, protokół, a potem na mocy takiego papierka, kazali pochwycić nieboraka, i wypalić mu kilkanaście odlewanych batów, a wreszcie, ponieważ Niemiec każe sobie każdą rzecz zapłacić, zniewalano tych, którzy już i ból i wstyd ponieśli, do opłacenia fatygi za bicie. A tak widzicie, że biedny chłopek trafił teraz z deszczu pod rynnę. Duchowieństwu dobra zabrano, i albo je całkiem rozdarowano Niemcom, nie wiedzieć za jakie tam zasługi, albo je też puszczano na pół darmo w arędę jakimsiś tam Oberamtmanom niemieckim; a ci wszyscy, co dawniej klasztorny chleb jedli, którzy tu oświatę, przytułek, i jałmużnę znajdowali, osiedli teraz na koszu; o tych biedakach nikt nie pomyślał.

Jak się przez to wszystko chłopków los zmienił, nie potrzebuję szeroce się nad tem rozwodzić, dość że wam powiem, że to tak właśnie było, jak gdy się dziecię małe z rąk macierzyńskich dostanie w ręce złej macochy. Wszystkie dawniejsze widoki wykierowania się na urzędnika, na oficera w wojsku narodowem, jak ów Głowacki, chłopek krakowski, co za zdobycie armaty pod Racławicami, natychmiast oficerem został, znikuęły chłopkowi polskiemu, bo najmniejszy urząd, na woźnego, na zamiatacza nawet w sądzie brali tylko samych Niemców.

Ale nie dość na tem. Za dawnych polskich czasów nie brano chłopa do żołnierki, bo wojska było mało, a choć w ostatnich czasach powiększono je aż do 100.000, to rozpisano rekrutów na sto domów jednego. Niemcy zaś przeciwnie brali, z jednego domu i po dwóch, — trzech synów, byle tylko trzymali miarę. Tak bowiem wtenczas Niemcy rosłych chłopów wyszukiwali do swojego wojska, że na nich istne polowania robili, i gdzie tylko godnego chłopca zoczyli, chwytali, pędzili do Kistrzynia, gdzie mu kijem unterofficer musztrę dobitnie pokazywał. A broń

Boże, jeżeliś w czem chybił, przepędzali biedaków przez rózgi i siekli, jak nieboskie stworzenia, że ciało od kości odpadało. Nie tak było za dawnych polskich czasów, pamiętam jak dziś, gdy w roku 1790. przyprowadzono do Poznania do pułku Mycielskiego kilkadziesiąt rekruta. Major owego pułku Węgierski kazał tym rekrutom wytoczyć beczkę piwa, rozdać każdemu po kukiełce chleba i po dwa funty mięsa i uściskał każdego z osobna, jako nowych braci oręża, a potem ich musztry, bez pomocy kija w krótkim czasie wyuczył.

Bieda zaczęła się teraz drzwiami i oknami walić do chłopka: podatki, o których dawniej ani nie słyszał inkwaterunki, furaże, że końca temu nie było, jeno daj a daj! Gdym też w roku 1800. do swoich do Winnejgóry przyjechał, zeszli się do mnie wszyscy gospodarze, krewniacy i niekrewniacy, a ścisnąwszy mię za rękę: Oj źle z nami rzekli; do czegośmy to Tomaszu przyszli! Bodaj się święciły dawne polskie czasy.

Na Rusi Czerwonej i w Małej Polsce, to jest tej części Polski, którą Austrjak zagrabił i nazwiskiem wschodniej i zachodniej Galicji przechrzcił, było jeszcze daleko gorzej, niż u nas w Wielkiej Polsce: bo tu przynajmniej mogłeś na biedę sarknąć, mogłeś zapłakać; ale tam broń Boże było pisnąć, że pod rządem cesarskim źle, zaraz cię brano w dyby, w sztokhauzy i obchodzono się z człowiekiem jak z nie stworzeniem boskiem. Św. pamięci ksiądz biskup Okęcki posłał mnie raz z jakiemiś ważnemi papierami, których poczcie powierzyć nie chciał, do księdza biskupa Gołaszewskiego w Przemyślu. Manowcami przemknąłem się do Krzeszowic, dóbr księżnej Lubomirskiej i stanąłem w karczmie noclegiem. Właśnie wtenczas w sąsiedniej chałupie odprawiało się chłopskie wesele. Zdjęty ciekawością, udałem się do chałupy, zkąd brzmiała wiejska kapela. Aż tu wśród najżywszej radości, pląsów, drużbów, wpadają znienacka draby cesarskie, chwytają młodego pana, drużbów i swatów, wiążą wszystkich jak jakich złodzieji i wleką do Krakowa w rekruty. Nie będę wam opisywał rozpaczy i płaczu pozostałych kobiet; ich żale i łkania przebijały niebiosa, a mnie biednemu dotychczas serce kraje się z żałości, gdy o tem wspomnę. Widok takiego okrucieństwa oburzył mnie do żywego; ale roztropność nakazywała milczenie, tym bardziej, gdym się dowiedział, że to taki był obyczaj tych cesarskich werbowników. (D. n.)

Przyczyna wilgoci w gruncie.

Chcąc z jakąkolwiek nadzieją powodzenia zająć się sztuką osuszenia gruntów, należy najpierwej poznać przyczyny wilgoci w ziemi i różne sposoby jej pojawienia się, stosownie do natury i położenia gruntu. Przyczynami wilgoci być mogą: 1) wody znajdujące się na powierzchni; 2) grunta pochłaniające i zatrzymujące pewną ilość wody nadmiarowej, skutkiem stanu skupienia, lub też natury surowcu, na którym spoczywają; 3) źródła z wód powierzchownych powstałe; 4) źródła pochodzące z wody zaskórnej; 5) przesiąkiwane wody z rowów lub stawów; 6) wreszcie, wylewy rzeki jezior.

1. Wody znajdujące się na powierzchni. Wilgoć w gruntach gliniastych pochodzi częstokroć z wody, która się długo zatrzymała na ich powierzchni. Różne są rodzaje takich gruntów, barwą i stanem skupienia pomiędzy sobą się różniące, wszystkie wszelako chociaż w różnym stopniu, posiadają własność zatrzymania wody na ich powierzchnią spadłej, pokąd jej sztuka nie usunie, lub działanie słońca i powietrza nie ulotni. Grunta też takie można jedynie prowadzeniem spadów i spustów na powierzchni uwolnić od tej nadmiarowej wilgoci.

2. Grunta wilgoć pochłaniające. Grunta szczerkowate chciwie pochłaniające wodę, i przez nasycenie się nią pęcznieją. Zatrzymują też zwykle więcej wilgoci niż potrzeba. Następuje to zwłaszcza gdy spoczywają na surowcu gliniastym, nieprzepuszczającym wody. Ponieważ ta nadmiarowa wilgoć jest dla wzrostu roślin szkodliwą, pozbyć jej się należy, bądź powierzchownemi, bądź podziemnemi ściekami. Grunta piaszczyste na przepuścistym spoczywające surowcu, potrzebują także ścieków, gdyż woda w wierzchniej warstwie się znajdująca, na dół przesiąknąć nie może; wystarcza wszelako powszechnie zagłębienie ścieków na kilka cali w pokład gliniasty, na którym warstwa górna spoczywa.

3. Źródła z wód powierzchownych powstałe. Warstwa górna częstokroć kilkakrotnie zmienia swe własności, na ograniczonym nawet obszarze i w tem samem polu znaleść można piasek tuż przy glinie, albo grunt gębczasty obok roli zatrzymującej wilgoć. Osuszanie przedstawia wtedy więcej trudności i większej wymaga wprawy, niż gdy warstwy wierzchnie i surowiec są grube i jednostajnie rozpołożone. Dla osiągnięcia celu nie na zbyt wielkim kosztem, należy najpierwej poznać naturę gruntu, zastanawiając się nad zjawiskami ukazującemi się na jej powierzchni. W gruntach gębczastych przepuścistych tworzą się zbiorniki wody, powiększające się podczas słoty, aż pod brzegi otaczającej je gliny, ztąd powstają źródła czasowe, które naprowadzają wilgoć na grunta do których spływają, odbierają im przyrodzoną ich zyzność. Dalej znów bryła gębczasta może tę wodę pochłonąć, i na nowo podobnych zjawisk stać się powodem. Przez gęste choć niegłębokie przegony, na całej powierzchni pola prowadzone, starano się dawniej to złe usunąć; gruntownie wszelako daje się temu zaradzić, prowadząc rów głęboki od najniższej części pola osuszyć się mającego, aż do części jego piaszczystej najwyżej położonej, i to w takim kierunku, żeby przez wszystkie pośrednie miejsca piaszczyste przechodził. Prócz tego głównego rowu, potrzeba częstokroć połączyć z nim bocznemi rowkami odleglejsze miejsca piaszczyste.

4. Źródła pochodzące z wody zaskórnej. Zasady osuszania w tak ścisłym pozostają związku z przyczynami i sposobem działania źródeł zaskórnych, iż potrzeba nam koniecznie obszerniej nad tym zastanowić się przedmiotem. Wiadomo, iż ziemia składa się z różnych pokładów, które stosownie do ich własności nazwano przepuścistemi. Piasek, żwir, pokłady wapienne i niektóre skały poprzerzynane mnóstwem szczelin i rozpadlin, stanowią pokłady przepuściste; różne rodzaje gliny, gliną zasklepione żwiry i skały twarde, zbite i nie mające rozpadlin, nazwano nieprzepuścistemi. Widoczną więc jest rzeczą, że źródła powstają z wody spadłej w kształcie deszczu, rosy albo z topienia śniegów pochodzącej; która natrafiwszy na pokłady nieprzepuściste, wielkie utworzyła zbiorniki i wpływa z nich na powierzchnią w kształcie źródeł różnych pojawiających się sposobem. Są one większe lub mniejsze stosownie do rozległości pokładów przepuścistych, przyjmujących i pochłaniających wodę deszczową, jako też obszerności zbiorników.

5. Przesiąkanie. Zatrzymanie się wody w rowach pola otaczających, zwłaszcza też położonych w wyższej części ogrodzonego pola, częstokroć jest przyczyną wilgoci w roli; woda nie mająca ścieku, przesiąka przez surowiec zwilża powierzchnią, i podczas słoty wszystkie źródeł przyrodzonych sprawia zjawiska, te same szkodliwe wywierają skutki, podobny

wpływ wywiera niekiedy woda zatrzymana w ścieku podziemnym stawie lub korycie młyńskiem. Gdy to się z ściekiem zdarzy, ułatwić należy odpływ wody, pogłębiając lub też więcej dając spadku rowowi lub kanałowi. Gdy złe pochodzi od stawu, należy przekopać rów w najniższym jego brzegu, żeby ściągnąć wodę i inny nadać jej odpływ. Doły marglowe wodą zalane i stawy do pojenia bydła źle założone są niekiedy powodem podobnych niedogodności.

6. Wylewy rzek i jezior. Jedynie w tym razie środkiem zaradczym jest obwałowanie. Często wszelako potrzeba użyć przyrządów mechanicznych w pomoc dla osuszenia.

Nowiny ze świata.

Zatargi pomiędzy Anglją a Moskwą nie zmieniły się w ostatnich dwóch tygodniach. Oba te mocarstwa obstają przy swojem. Moskwa chce zatrzymać w swem ręku co zdobyła i wymusiła od Turków. Anglja zaś nie chce dopuścić takiej przewagi moskiewskiej, i żąda aby Moskale poddali się woli innych mocarstw. Jak już pisaliśmy, trudno, aby przyszło do jakiegokolwiek porozumienia, i dlatego obie strony korzystają z przewłoki rokowań, aby się zbroić i gotować do wojny. Na ostatnie spróbowanie wyjechał z Londynu do Petersburga poseł moskiewski hr. Szuwałow. Gazety piszą, że on będąc wtajemniczony w zamiary Anglji, a przytem nie należąc do zwolenników wojny, chce wpłynąć na cara moskiewskiego, swojego pana aby się po dobremu zgodził z Anglją. Ale rzeczy już podobno zanadto daleko zaszły, by można się spodziewać, iż posłowie i ministry zażegnają wybuch wojny. Moskale przewidują, że prędzej czy później spełzną na niczem rokowania dyplomatyczne, posyłają ciągle świeże wojsko do Turcji. Naczelną komendę nad wojskiem moskiewskiem objął tam stary jenerał Totleben, a W. książe Mikołaj, który przedtem komenderował, wyjechał do Petersburga, gdzie ma być formowaną druga armja. A ponieważ Moskala spodziewają się, że i Austrja pójdzie razem z Anglikami, więc ustawiają swe wojska w Rumunji i w Królestwie Polskiem. Anglicy zaś sprowadzają wojska aż z Indyj. Z powodu gromadzenia wojsk moskiewskich w Rumunii, która jak wiadomo sąsiaduje z naszą Bukowiną i Siedmiogrodem, w sejmie węgierskim zapytywano ministrów, czy rząd cesarza austrjackiego robi jakie kroki ostrożności. Minister Tisza odpowiedział, że rząd cesarski kazał obwarować gościńce prowadzące górami do Rumunii, i w ogóle baczne ma oko, a z tych 60 milionów złr., które mu najwyższy sejm państwa uchwalił, chce użyć na powiększenie wojsk w tych krajach, którcby były narażone najpierw na napad Moskalów. Nasza Galicja jest tedy narażoną, bo ma od strony Moskali całkiem otwarte granice, a wojska tu nie wiele.

Równocześnie posłowie nasi zapytywali ministrów w Wiedniu, ile w tem prawdy co głoszą w gazetach, że monarcha austrjacki chce zająć turecką Bośnię i Hercogowinę, i porządek tam zrobić. Wczoraj właśnie minister Auersperg oświadczył na to pytanie, że pogłoski o tym zamiarze są nieprawdziwe. Wierzymy, że tak jest, ale to pewna również, że Moskale bardzoby radzi, aby Austrjacy złakomili się na owe kraje, i są nawet w Wiedniu na dworze cesarskim ludzie, którzy doradzają taki zabór. Zabór jednak cudzych krajów jest takim samym czynem, jak gdyby kto komu wydarł moszonkę z pieniądzmi z kieszeni. Prawda, że rząd cesarski ma wiele kłopota z Bośniakami, którzy się schronili do państwa austrjackiego i są od dwóch lat na utrzymaniu skarbowem, co bardzo dużo kosztuje. Ale rząd ma na to sposoby. Wszak przybyszów tych może pod strażą odesłać, skąd przyszli i nie troszczyć się dalej o nich. Rzecz dziwna, jak przed 15tu laty było powstanie w Polsce, to władze w Galicji nie namyślały się długo, i uciekających ztamtąd ludzi wydalały bez pardonu, a teraz z Bośniakami tak delikatnie się obchodzą. W ostatnich dniach nieproszeni ci goście i niewdzięczni za jałmużnę, jaką dostają z naszej kieszeni, zaczęli się formować w zbrojne bandy i napadać obywateli, a nawet z żandarmerją wdawali się do bitki. Mamy wielkie pomyślenie że zły duch moskiewski podburza tych ludzi do buntów, aby tylko rządowi cesarskiemu przymnożyć zmartwienia i kosztów, w obec gotującej się wielkiej zamieszki wojennej.

Rada państwa w Wiedniu wzięła teraz pod obrady ustawy podatkowe. Obrady te bardzo pomału postępują. Zachodzą tamże wielkie trudności z ugodą z Węgrami Szczególnie silna partja niemieckich posłów robi ciągłe trudności, tak że ani cesarz ani ministrowie nie mogą przyjść do żadnego końca. A tu tymczasem wojna za drzwiami, i dla dobra państwa potrzeba, aby wewnątrz zrobiła ład jakiś, i żeby nie było takich nieporządków, jak u Turków. Zdaje, się że to chytry Prusak, który z Moskalem trzyma, podmawia posłów niemieckich do robienia ciągłej zawieruchy w Wiedniu, aby monarchja austrjacka miała ciągle ręce związane. Ci sami posłowie niemieccy chcą odmówić rządowi nawet tych pieniędzy, które już uchwalił najwyższy sejm na przygotowania wojenne. Źle temu państwu, gdzie rej wodzą ludzie, nie mający żadnej miłości ojczyzny i kochający chyba tylko swoją kabzę z grosiwem.

W zeszłą sobotę zdarzył się w Berlinie wielki wypadek. Cesarz niemiecki Wilhelm, jechał ze swoją córką ulicą popołudniu ze spaceru. Wtem jeden człowiek ubogo ubrany, strzelił dwa razy z pistoletu do powozu. Cesarzowi nic się nie stało, bo kule chybiły, a sprawcę przytrzymali ludzie. Nazywa się on Hoedel, rodem jest z Lipska — robotnik blacharski. W policji zeznał, że nędza i głód go do rozpaczy przywiodły. Niestety nędza coraz większa będzie, jak wszelki zarobek ludzki będzie obracany tylko na sprawienie karabinów i armat do wzajemnego mordowania się ludów, i jak trzy wichrzyciele jak Bismark, cary moskiewskie i pruskie dla swojego zadowolenia będą prowadzić ciągłe wojny, zagrażając sąsiednim krajom, i zmuszać je również do srogich wydatków na wojsko, karabiny i armaty. A wszak PanBóg nie na to stworzył ludzi i narody, aby się dla pociechy kilku pyszałków i bezbożników rznęli pomiędzy sobą.

Rozmaitości.

Angielskie solenie masła na długą konserwę. Jedna część saletry i tyleż cukru wraz z dwoma takiemi częściami na wagę soli, tłucze się na miałki proszek. Tak przygotowanej mieszaniny funt bierze się do osolenia 12 funtów masła, które się utłacza warząchwią, aby jednostajnie przyjęło tę zaprawę, układa w faski i szczelnie przykrywa. Tak nasolone masło jest dobre i tęgie — do trzech lat przechowuje się bez zepsucia, i choć z początku w użyciu czuć się daje smak cukru i saletry, to po 4 lub 5 tygodniach smak ten niezwykły ginie.

Wydawca, właściciel i redaktor odp. Jan Dobrzański.

Z drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla.